

Iwan Wyrypajew

**Letnie osy kęsają nas nawet w
listopadzie**

Komedia w jednym akcie

Przekład Agnieszka Lubomira Piotrowska

Osoby:

Helene – 35-40 lat

Mark – 60-70 lat

Joseph – 60-70 lat

- Dlaczego płaczesz?

- Dlatego, że jestem sam.

- Jesteś sam?

- Czuję i żyję tak, jakbym był sam

(Ingmar Bern „Dialogi samotnych”, Sztokholm, 1986)

Na scenie Mark, Helene i Joseph. Przez jakąś dłuższą chwilę wszyscy milczą.

MARK. Wiesz, Saro, Marcus nie mógł być u ciebie w zeszły poniedziałek, ponieważ w zeszły poniedziałek był u Donalda.

JOSEPH. Tak, to prawda, w poniedziałek Marcus był u mnie, przyjechał do nas w niedzielę późnym wieczorem, a wyjechał wcześniej rano we wtorek, aby zdążyć o jedenastej na pociąg do Sztokholmu.

HELENE. Czyli, według ciebie, Robercie, ja kłamię?

MARK. Nie chciałbym używać takich mocnych słów, ale zgodzisz się, że powinnaś mi jakoś wytłumaczyć, co to za mężczyzna był w naszym domu w zeszły poniedziałek?

HELENE. W zeszły poniedziałek był u nas Marcus.

MARK. Donald?

JOSEPH. Cały zeszły poniedziałek Marcus gościł u mnie, i bardzo was proszę, skończmy tę dziwną rozmowę.

MARK. Ale ja to muszę wyjaśnić, do diabła! Mam prawo wiedzieć, kto pod moją nieobecność był u mojej żony i dlaczego mnie okłamujesz, Saro?!

HELENE. Nie okłamuję cię, Robercie, w zeszły poniedziałek w naszym domu gościł twój brat Marcus.

MARK. Saro, proszę cię przestań, słyszysz?! Przez szacunek do mnie, do naszego małżeństwa, proszę cię, natychmiast przestań!

JOSEPH. Robercie, myślę, że wszyscy powinniśmy zakończyć tę rozmowę, skoro sprawy zaszły tak daleko i nie ma rozsądnego rozwiązania tej kwestii...

HELENE. Rozsądne rozwiązanie tej kwestii istnieje.

Helene wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy.

HELENE. Zaraz zadzwonimy do Marcusa i wszystkiego się dowiemy.

MARK. Boże, Saro, nie wariuj, po co ten cyrk, po co wciągać do tej sprawy biednego Marcusa, uspokój się, proszę cię?!

Helene rozmawia przez telefon.

HELENE. Halo. Cześć Marcus. Mówi Sara, jest tu ze mną twój brat Robert, wydaje mi się, że chce ci zadać jakieś pytanie, przekazuję mu słuchawkę... Co? Nie, nie, z waszą mamą nic się złego nie dzieje, Robert za chwilę sam wszystko ci wytłumaczy.

Helene przekazuje telefon Markowi.

MARK. Halo. Cześć Marcus. Cha, cha. Zdaje się, że letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie. Co słysząc, stary? Co?! O! Nie, nie. Po prostu sami nie wiemy, czym się zająć. Nie, nie, siedzimy w domu, jest z nami jeszcze Donald, jesteśmy we trójkę i prawdę mówiąc, trochę zamieszaliśmy sobie głowie i chyba teraz chcemy też tobie zamieszać. Mama? Rozmawiałem z nią dziś rano, powiedziała, że jeszcze nie chce wracać, zatem planuję zabrać ją w przyszłym tygodniu, a co, mówiła ci coś o tej sprawie? Ach, Silent! Oj no ten Silent, posłuchaj Marcus, od śmierci ojca nie minęły nawet dwa lata, a nasza matka coraz częściej i częściej gości u siebie tego Silenta. Jestem przekonany, że ona chce pozostać w pensjonacie do końca listopada właśnie ze względu na jego osobę. A właśnie, Marcus, byłeś u nas w domu w zeszły poniedziałek, kiedy ja akurat pojechałem do matki? Aha. Tak?! Nie, dlaczego? Dlaczego, wszystko mi powiedziała, ale po prostu...? Hm. Czyli ty faktycznie byłeś u nas w zeszły poniedziałek? Ale daj spokój, wszystko w porządku, chciałem po prostu sprecyzować, bo... No oczywiście, Sara mi powiedziała... tylko... Ale posłuchaj... Nie, nie, nic... Szkoda, że nie udało się nam zobaczyć, mam nadzieję, że w ten poniedziałek znów do nas wpadniesz, dobra? Co? Ach, w ten poniedziałek planujesz odwiedzić Donalda? Aha. Zaprosił cię. To znaczy, że nie byłeś u niego w zeszły poniedziałek? Co?! Ach, do diabła, no oczywiście! Przepraszam, nie dręczę cię, po prostu jakoś faktycznie dzisiaj ciężko kojarzę. Nie, Marcus, nie jestem chory. Wszystko w porządku. Miło było cię usłyszeć, mój drogi i do zobaczenia w ten poniedziałek. Ach, tak! Tak, tak, zapomniałem, że jedziesz do Donalda. Przepraszam, prawdę mówiąc, to trochę sobie zajaraliśmy, no sam wiesz, co. Nie mogę o tym mówić przez telefon... no sam wiesz, no kiedy to się wypali to... no... no to nie zwyczajne papierosy, a sam rozumiesz, jakie, w każdym razie, to nie rozmowa na telefon... ale chyba zrozumiałeś, o czym mówię... ludzie po tym zaczynają się strasznie śmiać... Cha, cha...

Mark zaczyna się śmiać. Śmieje się tak, jakby naprawdę upalił się marihuaną.

MARK (*poprzez śmiech*). Wybacz, Marcus... ciężko mi teraz mówić, bo się śmieję... Przekazuję telefon Sarze... ona ci wszystko wytłumaczy...

Mark przekazuje telefon Jelenie i powoli się uspokaja.

HELENE. Tak, Marcus. No oczywiście, wszystko w porządku. Po prostu trochę się wygłupiamy, i tyle. Tak, tak, naprawdę, wszystko jest absolutnie ok. Znasz swojego brata, on nigdy nie traci głowy do końca. Kochamy cię, miło było cię usłyszeć. Do zobaczenia, Marcus. Donald

również cię pozdrawia, właśnie macha do ciebie ręką. Oczywiście przekażę. Do widzenia, Marcus.

Helene chowa telefon do kieszeni.

HELENE. Donald, Marcus cię pozdrawia.

Pauza. Helene i Mark patrzą na Josepha.

MARK. Donald, co się dzieje?

JOSEPH. Nie wiem.

MARK. W jakim sensie nie wiesz?

JOSEPH. Nie wiem, co mam powiedzieć.

MARK. Ale jednak powinieneś nam wytłumaczyć, po co ci to wszystko było potrzebne?

JOSEPH. Co było potrzebne, Robercie?

MARK. Potrzebne o to wszystko, Donaldzie? Cała ta gra z Marcusem i jego mityczną poniedziałkową wizytą w twoim domu? Przecież to nie są jakieś tam żarty, Donald. Przez ciebie omal się nie pokłóciliśmy z Sarą...

HELENE. Pokłóciliśmy się, Robercie.

MARK. Co?

HELENE. Powiedziałeś przed chwilą, że „omal się nie pokłóciliśmy”, a ja chcę sprecyzować, że się pokłóciliśmy, Robercie.

MARK. No właśnie, tym bardziej.

Pauza. Przez jakiś czas wszyscy milczą.

MARK. Donald, no, czemu milczysz?

JOSEPH. Letnie osy kęsażą nas nawet w listopadzie.

MARK. Donald, do diabła! Co jest, postanowiłeś nas dzisiaj podręczyć?! Donald?!

Pauza. Mark uspokaja się i patrzy na Josepha ze współczuciem.

MARK. Bardzo źle się czujesz, Donaldzie? Powiedz nam.

Pauza.

JOSEPH. Wiecie, jestem zmęczony. Nawet nie wiem, jak wam to wytłumaczyć. Jestem bardzo mocno zmęczony wszystkim, co mnie otacza. Wszystkim, dosłownie wszystkim, co widzę. Jestem zmęczony tymi drzewami, ulicą za moim oknem. Jestem zmęczony moim oknem, zasłonami w moich oknach. Widokiem za moim oknem. Jestem zmęczony ptakami, które przelatują po niebie i ich śpiewem co rano i wieczór. Jestem zmęczony śniadaniem, obiadem i kolacją. Jestem zmęczony słowami, moim psem, moją żoną i tym, że po dniu stale przychodzi noc albo na odwrót. Jestem zmęczony gazetami, informacjami, jestem zmęczony zapachem mydła w naszej łazience, jestem zmęczony uśmiechami moich sąsiadów, jestem zmęczony kolorem ścian w moim domu. Jestem zmęczony słowami, które trzeba wypowiadać każdego dnia. Jestem zmęczony wodą, którą trzeba pić, żeby nie umrzeć z pragnienia. Jestem zmęczony wszystkim, rozumiecie, wszystkim, co mnie otacza, a nawet tym, co mam w środku. Jestem zmęczony moim sercem, moimi płucami i całą moją krwią, która płynie moimi żyłami. Ale najbardziej na świecie jestem zmęczony samym sobą, rozumiecie? Nawet nie wiem, jak to można wytłumaczyć? Rozumiecie, przecież zawsze jestem sam ze sobą, gdziekolwiek się znajdę, zawsze tu jestem. I nie ma ani jednej chwili, kiedy mógłbym choć trochę побыć bez samego siebie. Nawet we śnie odczuwam własną obecność. Zawsze jestem sam ze sobą i tak jestem sobą zmęczony po tych wszystkich latach, że więcej nie mogę znieść własnej obecności, ale niestety, nic nie można na to poradzić i sam nie wiem, jak się od siebie uwolnić, myślałem nawet o samobójstwie, ale brak mi odwagi, zresztą brzydzi mnie myśl, że upodobnię się w ten sposób do tych wszystkich idiotów, poetów i muzyków rockowych, których nie znoszę, w rodzaju Jima Morrisona.

HELENE. Jim Morrison nie jest samobójcą, Donaldzie, zmarł przedwcześnie, ale zmarł śmiercią naturalną.

JOSEPH. Ale co to ma do rzeczy, przecież rozumiecie, o czym mówię?

Pauza.

MARK. Donald, kiedy ostatni raz byłeś u swojego psychoterapeuty?

JOSEPH. Nie mam i nigdy nie miałem żadnego psychoterapeuty, nie jestem z tych.

MARK. Z których, Donaldzie?

JOSEPH. Nie jestem z tych, co chodzą po psychoterapeutach.

MARK. A co w tym złego, żeby od czasu do czasu odwiedzić psychoterapeutę? Wydaje mi się, że gdybyś chociaż od czasu do czasu odwiedzał psychoterapeutę, to nie miałbyś takich problemów, z jakimi się teraz borykasz. Bo dobry psychoterapeuta zawsze będzie w stanie poradzić ci, co robić, żeby nie być zmęczonym śpiewem ptaków za oknem. Rozumiesz, o czym mówię?

JOSEPH. Nie jestem chory, Robercie. Świetnie wiem, że nie jestem chory.

MARK. Dobrze, a czy ktoś jeszcze prócz ciebie wie o tym?

JOSEPH. Oczywiście. Moja żona wie, że nie jestem chory. Moi sąsiedzi wiedzą, że nie jestem chory. Twój brat Marcus wie, że nie jestem chory.

MARK. A właśnie, Marcus. Po co, Donaldzie, wymyśliłeś tę historię z Marcusem?

JOSEPH. Nie wiem, Robercie. Jestem bardzo mocno zmęczony, czy ty nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Pauza. Przez jakiś czas wszyscy milczą.

MARK. Donaldzie, chyba faktycznie powinieneś porozmawiać z dobrym psychoterapeutą. Mogę ci polecić jednego bardzo dobrego psychoterapeutę. Faktycznie bardzo, bardzo dobrego.

Pauza.

JOSEPH. Robercie, chcę ci powiedzieć, że Marcus nie był u was w zeszły poniedziałek, ponieważ był u mnie. On naprawdę był u mnie, Robercie.

MARK. Donald, przestań. Wcale się na ciebie nie złościę, widzę, że naprawdę nie jesteś w najlepszej formie i pragnę ci pomóc. Może ja od razu zadzwonię do znajomego psychoterapeuty i umówisz się na wizytę?

JOSEPH. Och, Robert, Robert! Bardzo nie chcę wciągać do tej sprawy mojej żony, ale najwyraźniej nie ma innego wyjścia.

Joseph wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy i naciska klawisz „połącz”.

MARK. Donald, co ty robisz?

JOSEPH. Dzwonię do mojej żony, dzwonię do Marthy. Mam nadzieję, że jej uwierzysz.

MARK. Przestań, Donald, po co wciągać w to jeszcze Marthę?

JOSEPH. Niestety nie widzę innego sposobu, żeby ci udowodnić. Halo, Martha. Posłuchaj, jest tu razem ze mną Robert, który chce ci zadać jedno ważne pytanie. Przekazuję mu telefon, kochanie.

Joseph podaje telefon Markowi.

MARK. Halo. Dzień dobry, Martho. Co u ciebie, jak noga? Nie, chciałem ci zadać inne pytanie, ale pytam o twoją nogę, bo się niepokoję o twoją nogę, chociaż tak naprawdę chciałem cię zapytać o coś zupełnie innego. Ale najpierw opowiedz mi o nodze. Chodzisz jeszcze na rehabilitację? Aha. I co mówi lekarz, jak długo to będzie trwać? Jeszcze pół roku? Czemu tak długo? Ale daj spokój, nie jesteś wcale stara, po prostu miałaś skomplikowane złamanie, najwyraźniej wymaga to dużej cierpliwości. No dobrze, niedługo na pewno cię odwiedzę. Postaram się. Ostatnio mam dużo roboty w banku. A jeszcze moja mama za nic nie chce wracać z pensjonatu i jestem zmuszony jeździć do niej co tydzień. Jeździmy z Marcusem na zmianę, jak na dyżury, raz w tygodniu on, a następnym razem ja. Właśnie, Donald mówi, że fajnie spędziliście czas z Marcusem w zeszły poniedziałek? Donald mówi, że Marcus przesiedział u was dwie noce i dzień? Co? Ach, wy naprawdę bardzo fajnie spędziliście czas? Wybacz, chcesz powiedzieć, że spędziliście ten czas z Marcusem? Czyli, on był u was w ten poniedziałek?! Jesteś tego pewna, Martho? Raczej, chciałem powiedzieć, jesteś pewna, że to był Marcus, raczej, chciałem powiedzieć, jesteś pewna, że to był właśnie zeszły poniedziałek, a nie..., powiedzmy poniedziałek dwa tygodnie temu? Co? Nie, Martho, oczywiście, nic się nie stało. Ale nie, nie bierz sobie tego do serca, ja tylko tak, żarcik taki. Mówię, że żartowałem, taki żart, Martho, wszystko w porządku. Co w tym śmiesznego? No pewnie to, że Marcus był u was w zeszły poniedziałek, pewnie to jest śmieszne, Martho. Cha, cha. Tak w ogóle, to trochę jaraliśmy... ale nie chodzi o papierosy... tylko paliliśmy... no, sama wiesz, co...

no, to samo, co raz wypaliliśmy na moje urodziny jakieś sześć lat temu, pamiętasz? Wszyscy wtedy to paliliśmy... ty też Martho, pamiętasz? Śmialiśmy się wtedy cały wieczór, pamiętasz, Martho? No, więc właśnie, teraz postanowiliśmy to powtórzyć... Jak to – jacy my? Ja, Sara i twój mąż Donald. Tak, Donald również. Wybacz, że nie zaprosiliśmy cię, ale przecież masz nogę, mogłabyś się potknąć, stracić równowagę i uszkodzić nogę. Ale co znaczy, po co to zrobiliśmy? No jak, po co, Martho, dziwne pytanie. Żeby się pośmiać, to oczywiste. Cha, cha, cha. Wybacz, nie mogę więcej rozmawiać, normalnie umieram ze śmiechu. Wracaj kochana do zdrowia, do zobaczenia.

Mark oddaje telefon Josephowi. Joseph chowa telefon w kieszeni. Mark uważnie patrzy na Helenę.

MARK. Saro?

HELENE. Tak, Robercie.

MARK. Co „tak”, Saro? Co oznacza, to twoje „tak”, Saro?

HELENE. Że cię słucham, Robercie.

MARK. Nie, Saro, moja droga, to ja ciebie słucham!

HELENE. Nie wiem, co ci powiedzieć, Robercie.

MARK. Co się dzieje, Saro?

HELENE. Nie wiem, Robercie.

MARK. Nie wiesz? Po cholere, ty nie wiesz?! Po cholere mówisz, że nie wiesz? A kto wie, Saro? Kto?! A, Marcus?! Wychodzi na to, że okłamał mnie?! Marcus! Kto by przypuszczał, nasz Marcus! Dziesięć minut temu przez telefon, przecież mnie okłamał?! Mój rodzony brat mnie okłamał?! Chcę wiedzieć, po co to robicie?! Saro, chcę wiedzieć, powiedz mi, po co wy to robicie, ty i Marcus?

HELENE. Co my robimy, Robercie?

MARK. No to wszystko. O, to kłamstwo, o, te rozmowy telefoniczne. Chcę wiedzieć, co się dzieje, Saro? I nie chcę słyszeć o tym, że nie wiesz. Słyszysz? Nie chcę słyszeć o tym, że ty nie

wiesz?! Słyszysz? Czy ty mnie słyszysz, Saro? Nie chcę słyszeć o tym, że mnie nie słyszysz, Saro?

HELENE. Słyszę cię, Robercie, uspokój się.

MARK. Zatem wytłumacz mi, do diabła!

Pauza.

HELENE. To nie tak łatwo wytłumaczyć, Robercie.

MARK. Nie chcę słyszeć o tym, co łatwo, a co trudno, żądam wyjaśnień, jakkolwiek by były trudne! Żądam wyjaśnień i to natychmiast. Albo lepiej zaraz zadzwonię do Marcusa, niech on mi wszystko wyjaśni.

Mark wyjmuje telefon, naciska klawisz połączenia.

HELENE. Nie trzeba do niego dzwonić, Robercie.

MARK. Nie, a niby dlaczego?! W końcu to mój rodzony brat... O, proszę! Niedostępny. Wyłączył telefon. No pewnie, nie ma ochoty nic tłumaczyć, rozumiem to!

Mark chowa telefon w kieszeni.

HELENE. Marcus jest teraz na mszy, przecież dziś niedziela.

MARK. Marcus na mszy! Ciekawe, jak on znajdzie w sobie siły, żeby przystąpić do komunii świętej po całym tym kłamstwie?!

JOSEPH. Pozwól coś sobie wytłumaczyć, Robercie.

MARK. A co ty masz do tego, Donaldzie? Chcę usłyszeć wytłumaczenie od mojej żony.

JOSEPH. Jestem twoim przyjacielem, Robercie. Jestem przyjacielem waszej rodziny. Kocham was, ciebie i Sarę, i chcę, żeby wszystko wam się układało i wydaje mi się, że rozumiem, co tu się u was dzieje i myślę, że będę w stanie to wam wyjaśnić. Saro, Robercie, pozwólcie mi porozmawiać z wami otwarcie. Jestem waszym przyjacielem i nikt prócz mnie nie powie wam tego, co należy powiedzieć, nie powie prosto w twarz, rozumiecie? Nawet twój psychoterapeuta, Robercie, nie powie wam tego wszystkiego, bo zbyt mocno jest

uzależniony od tego ogromnego honorarium, które mu płacisz. Nikt wam tego nie powie, a ja powiem. Wysłuchajcie mnie. Naprawdę chcę wam pomóc.

Mark wzrusza ramionami. Pauza.

HELENE. No, jeśli faktycznie masz coś do powiedzenia...

JOSEPH. Saro, mam coś do powiedzenia. Mam wam coś do powiedzenia, Robercie.

Niewielka pauza. Joseph zbiera myśli.

JOSEPH. Pewnego razu niewielkie stado dzikich jeleni przechodziło górską rzekę w bród. Rzeka nie była zbyt głęboka, ale nurt rzeki był bardzo silny. Na tyle silny, że żaden z jeleni nie był w stanie ustać w nurcie rzeki. No i jelenie w żaden sposób nie mogły się przepawić przez tę rzekę. A koniecznie musiały się przepawić, ponieważ tutaj po tej stronie rzeki ziemia była pustynna: kamienie, skały i rzadkie drzewa, a tam za rzeką były przepiękne pola z zieloną trawą, cudowne krzewy z ukochanymi przez jelenie igiełkami, plus jeszcze tam wszędzie rosła ta... no, jak jej tam, takie okrągłe czerwone jagody rosną na wielkich charakterystycznych krzewach, wilki od nich umierają.

HELENE. Wilcza jagoda.

JOSEPH. No nie, coś ty? Od wilczych jagód odwrotnie, wilki żyją, dlatego nazywają się „wilcze”. A ja mówię o takich jagodach, które bardzo lubią jelenie, ale które strasznie odstraszą wilki. Dlatego jelenie starają się być jak najbliżej tych jagód. Po pierwsze są bardzo smaczne, a po drugie, odstraszą wilki.

MARK. Donald, czy ty zwariowałeś?

JOSEPH. Poczekaj, Robercie, nie przerywaj mi. No więc, rwąca rzeka i żaden z jeleni nie może się przepawić w bród. Żaden. I cały ten raj, całe to piękno, cała smakowitość, którą my jelenie kochamy najbardziej na świecie – wszystko to pozostaje tam, po drugiej stronie rzeki. A my jesteśmy tutaj. No i to tak, mój drogi Robercie, no i to tak.

Pauza.

MARK. Ja tu czegoś nie rozumiem, czy ty naprawdę zwariowałeś, Donald?! Co ty bredzisz?

JOSEPH. Jeśli możesz mi zaproponować, to proszę, mów.

MARK. Zaproponować?! Zaproponować przeciw czemu, Donaldzie?

JOSEPH. Przeciw temu, co przed chwilą powiedziałem, Robercie?

MARK. Przeciw temu, co przed chwilą powiedziałeś Donaldzie? Przeciw temu, co przed chwilą powiedziałeś, Donaldzie, może ci oponować tylko wykwalifikowany psychoterapeuta, a być może, konieczny tu będzie wykwalifikowany psychiatra.

HELENE. Ale dlaczego, Robercie? Ja na przykład, mam odpowiedź dla Donalda, chociaż nie jestem psychiatrą. Chodzi o to Donaldzie, że jeśli długo iść wzdłuż rzeki, to prędzej czy później na pewno trafimy na most.

JOSEPH. Co, co?! Jaki most, Saro, proszę cię, skąd on ma się wziąć, ten twój most, kto go zbuduje, ten twój most?

HELENE. Bóg go zbuduje, Donaldzie. Pan Bóg.

JOSEPH. Przestań, Saro, jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi.

MARK. Co tu się, do diabła, dzieje?! O czym wy mówicie?!

HELENE. Wybacz, Robercie, ale muszę mu odpowiedzieć. Widzisz, Donaldzie, w twoim sercu jest coś takiego, czego nie masz ochoty zauważyć. A wiesz, czemu nie masz ochoty tego zauważyć, mój drogi?

MARK. Saro, proszę cię, natychmiast skończ z tym wszystkim.

JOSEPH. Ale dlaczego, Robercie, niech kontynuuje, to nawet bardzo ciekawe, co ona ma do powiedzenia.

HELENE. A tu, w zasadzie, nie ma o czym mówić, Donaldzie. Ty nie chcesz zauważyć w sobie odpowiedzialności, którą każdy z nas ponosi wobec tego świata. To ty ponosisz odpowiedzialność za swoje życie, Donaldzie, ale nie chcesz tego przyjąć do wiadomości, ponieważ bez odpowiedzialności wygodniej się żyje, i to tyle.

JOSEPH. A kto ponosi odpowiedzialność za wszystkie zabite dzieci w Libii, w Afganistanie, w Iraku, w Wietnamie, w Hiroszimie i Nagasaki. Kto? Również ja?

HELENE. Tak, Donaldzie. W tym rzecz, mój drogi, że właśnie ty.

JOSEPH. Ja?!

HELENE. My wszyscy, Donaldzie. Ja, Robert, ty i twoja żona Martha.

MARK. Zdaje się, że zaczynam rozumieć, co tu się dzieje! Co, to wszystko po to, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory? Co, uważacie mnie za idiotę? Myślicie, że nie rozumiem?

HELENE. Niepotrzebnie się denerwujesz, kochany. Donald poruszył teraz bardzo delikatną i drażliwą kwestię. Czyżbyś nie miał nic do powiedzenia na ten temat?

MARK. Żądam, abyście natychmiast z tym skończyli! Z szacunku wobec mnie i naszej przyjaźni, proszę was natychmiast to wszystko przerwać!

JOSEPH. Ale po co te emocje, Robercie, czy nie możemy dyskutować po to, aby dojść do prawdy, a nie po to, aby połechtać własne ego?

HELENE. Popatrz no, Robercie, jakimi słowami on przemówił!

MARK. Żądam, abyście się w tej chwili zamknęli oboje! Zamknijcie się! W tej chwili skończcie z tym wszystkim. Co tu się dzieje? Żądam wyjaśnień!?

Pauza. Mark nieco się uspokaja.

MARK. Jeszcze raz ponawiam moje pytanie, co tu się teraz dzieje?

Joseph nie odpowiada.

MARK. Czemu milczycie? Saro?

HELENE. Nie da się jednocześnie zamknąć i odpowiadać na pytania.

MARK (*wychodzi z siebie i krzyczy*). Co?! Co wy w ogóle?! Przecież ja...! A ty...! Do diabła...! Nie chcę was oglądać po tym wszystkim. Nie chcę was oglądać!!!! Nie chcę cię oglądać, Saro! Nie chcę cię oglądać!!!

Mark wściekły schodzi ze sceny.

Pauza.

JOSEPH. Nie jestem zabójcą dzieci, Saro. Nie głosowałem na tych, którzy są dziś u władzy i nie pracuję w państwowym przedsiębiorstwie. Nie noszę nawet butów z naturalnej skóry, i sama wiesz, że już długie lata jesteśmy z Martha wegetarianami i w związku z tym nie uczestniczę nie tylko w zabójstwie ludzkich dzieci, ale też w zabójstwie krowich dzieci nie uczestniczę.

HELENE. W sensie – cieląt?

JOSEPH. Co?

HELENE. Krowie dzieci – to cielęta, po prostu chciałam sprecyzować.

JOSEPH. A po co tak się przywiązywać do słów, Saro?

HELENE. Ponieważ kiedy w młodości twoja żona Martha dokonała aborcji, to ty nie tylko o tym wiedziałeś, Donaldzie, ale nawet w pewnym stopniu upierałeś się przy tym, tak w każdym razie powiedziała mi Martha. Dlatego przywiązuje się do słów, mój drogi.

Pauza.

JOSEPH. Och, ta Martha! Wy kobiety, faktycznie nie umiecie trzymać języka za zębami.

HELENE. Mam nadzieję, że nie zaczniesz teraz twierdzić, że aborcja – to nie jest zabójstwo dziecka?

Pauza.

HELENE. Aborcja – to zabójstwo dziecka, Donaldzie?

JOSEPH. No oczywiście, Saro. No oczywiście.

Pauza.

HELENE. I co, Donaldzie? Czemu zamilkłeś, Donaldzie?

JOSEPH. Wybacz, Saro, ale nie chcę o tym rozmawiać. Skończmy już, proszę, tę rozmowę. Zmieńmy, proszę, temat. Porozmawiajmy, proszę, na przykład, o tobie.

HELENE. O, Donaldzie! Obawiam się, że nie jestem najciekawszym tematem do rozmowy.

JOSEPH. A mimo wszystko, bardzo ciekawi mnie, któż to był u ciebie w zeszły poniedziałek, co to za mężczyzna, którego wizytę tak starałaś się ukryć przed swoim mężem?

HELENE. Skoro ty nie chcesz rozmawiać o aborcji Marthy, to czemu ja powinnam ci opowiadać o swoim życiu osobistym? Przyjaźń buduje się na zaufaniu, Donaldzie? Ty ufasz mi, a ja ufam tobie. Ty nie ufasz mi, a ja nie ufam tobie. Zaufanie za zaufanie.

Pauza.

JOSEPH. Tak, wiele lat temu upierałem się przy tym, aby Martha usunęła ciążę, ponieważ nie lubię dzieci, Saro. Od dzieciństwa nie lubię dzieci i byłbym złym ojcem. I zawsze o tym wiedziałem. I nigdy nie chciałem mieć dzieci. Dlatego całe życie dokładnie się zabezpieczaliśmy z Martha. Ale kiedyś pękła mi prezerwatywa i mój przeklęty plemnik dostał się do jej nieszczęsnego jajeczka. Jednak, rozważyliśmy to na trzeźwo i doszliśmy z Martha do wniosku, że lepiej, aby nowy człowiek w ogóle nie pojawił się na świecie, niż miałby być synem złego ojca, który by go nie kochał. I tak postanowiłem. I Martha przystała na moją decyzję.

HELENE. Ty tak postanowiłeś, Donaldzie? A kim ty jesteś, żeby decydować, kto może przychodzić na ten świat, a kto nie? Co, uroiłeś sobie, że jesteś Panem Bogiem? Czy nie za wiele wzięłeś na siebie, Donaldzie?

JOSEPH. Nie za wiele, Saro. Dokładnie tyle, ile mogłem wziąć na siebie. Tym bardziej, że nie wierzę w Boga i uważam, że na tej planecie nikt prócz nas, ludzi, nie podejmuje żadnych świadomych decyzji. My podejmujemy wszystkie te cholerne decyzje. I kropka. No a teraz twoja kolej, Saro. Opowiedz mi, kto był u ciebie w zeszły poniedziałek? Zaufanie za zaufanie.

HELENE. No dobrze, Donaldzie. Zaufania za zaufanie. Już od kilku lat spotykam się innym mężczyzną. Kocham innego mężczyznę. Jestem szczęśliwa i nieszczęśliwa jednocześnie.

JOSEPH. I przyjmujesz go w domu swojego męża? Ale jak udało ci się namówić Marcusa, żeby potwierdził twoje kłamstwo? Przecież, o ile znam Marcusa, on w ogóle nigdy nie kłamie.

HELENE. To bardzo dziwne, że właśnie ty o tym mówisz, Donaldzie. Przecież doskonale wiesz, że w zeszły poniedziałek Marcus faktycznie był u mnie. Nie musiał więc kłamać.

JOSEPH. Przestań, Saro. W zeszły poniedziałek Marcus był u mnie, i dobrze o tym wiesz. Nie musisz robić szopek, kiedy nie ma z nami Roberta.

HELENE. No właśnie, Donaldzie, nie musisz robić szopek, skoro nie ma z nami Roberta, przecież doskonale wiesz, że w zeszły poniedziałek Marcus u was nie był i nie mogło go tam być. Jednak poraziło mnie to, z jaką łatwością Martha może mówić nieprawdę. Uczciwie przyznaję, że nigdy bym nie pomyślała, że ona jest zdolna do czegoś takiego.

JOSEPH. Hm, tak?

HELENE. Hm, tak.

Pauza.

HELENE. No też coś?! Kto by pomyślał, że Martha będzie zdolna do czegoś takiego?!

JOSEPH. Tak, Martha zdolna jest do wielu rzeczy, do bardzo wielu rzeczy, Saro. Ona nawet była zdolna zjeść swój własny palec.

HELENE. Co to za dziwna metafora, Donaldzie?

JOSEPH. To nie metafora, Saro. To doświadczenie, które kiedyś z Martha zdobyliśmy. Czyżby ci nie opowiadała, jak zjedliśmy jej palec?

HELENE. Co, co?

JOSEPH. No, przecież wiesz, że Martha nie ma palca u prawej ręki. Nie ma palca wskazującego. Straciła go w młodości. To był wynik nieszczęśliwego wypadku, jaki miał miejsce w jej pracy...

HELENE. Znam tę historię, Donaldzie.

JOSEPH. Wiesz o tym, że zjedliśmy jej palec?

HELENE. Boże, oczywiście, że nie! Znam historię o tym, jak Martha straciła palec.

Helene uważnie patrzy na Josepha.

HELENE. Co ty w ogóle mówisz, Donaldzie?!!

JOSEPH. Rozumiesz, kiedy zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek, Martha trafiła do szpitala i tam jej amputowano palec. I poprosiła chirurgów, aby oddali jej ten odcięty palec. Nie wiem, po co to zrobiła, to pewnie wynik szoku? I tak wróciła do domu ze szpitala razem z odciętym palcem. Jeszcze nie wiedząc, co z nim robić, włożyła palec do lodówki. Tam też go znalazłem. I wiesz, kiedy zobaczyłem tam ten palec, to przyszły mi do głowy dwie myśli. Pierwsza myśl, że przecież to zwykły kawałek mięsa i leży on obok innego kawałka mięsa, w tamtym czasie nie byliśmy jeszcze wegetarianami i w naszej lodówce dosłownie obok palca leżał kawałek mrożonej wołowiny. No i pomyślałem, że oto przede mną leży mięso krowy, a oto mięso człowieka. Mięso i mięso. I wówczas przyszła mi do głowy druga myśl, że przeżyję całe życie i w końcu nigdy nie poznam smaku ludzkiego mięsa. No bo kiedy nadarzy się taka okazja? Skąd ja wezmę ludzkie mięso? Przecież nie jestem mordercą? A tu proszę. Leży sobie. I nikt przy tym nie oddał życia, i nie popełniono przy tym żadnego grzechu. No i przyszło mi do głowy, aby spróbować człowieka, skoro otworzyła się taka możliwość w postaci palca. I opowiedziałem o tym Marthcie a ona, ku mojemu zaskoczeniu, natychmiast się zgodziła. I wówczas ugotowaliśmy ten palec, a potem oddzieliliśmy mięso od kości i zjedli. Wyszło raptem po maleńkim kawałeczku, no ale co poradzisz – kobiecy palec, tym bardziej, w tamtym czasie Martha była chudziutką dziewczynką, nie taką sflaczałą poduszką, jak teraz. No więc, zrobiliśmy to. Zresztą, od razu po tym zdarzeniu postanowiliśmy przejść na wegetarianizm, od tamtej pory nie jemy nie tylko mięsa, ale nawet ryb, no więc tak to wygląda.

Helene z przerażeniem patrzy na Josepha.

HELENE. Po co to zrobiliście, Donaldzie?!

JOSEPH. Aby zdobyć doświadczenie. Czy ty kiedykolwiek jadłaś ludzi, Saro?

HELENE. No oczywiście, że nie.

JOSEPH. No widzisz, a ja jadłem.

HELENE. No a Bóg, Donaldzie? Bóg?!

JOSEPH. Ale nie ma żadnego Boga, Saro. Do tego, wybac mi, ale zjeść swój własny palec – to jednak nie taki już znowu grzech w porównaniu z tym, że ktoś zdradza swojego męża w jego własnym domu...

HELENE. Po pierwsze, spotykamy się nie u nas w domu, tylko w hotelu. A po drugie, to przecież miłość, Donaldzie. Czy ty nie widzisz różnicy między grzechem a miłością? Ja i ten mężczyzna, my się kochamy, rozumiesz? No tak, przecież ty nie wiesz, co to jest miłość.

JOSEPH. Ale po co mnie obrażasz, Saro? Jestem sporo od ciebie starszy i nie zasłużyłem sobie na taki stosunek do mojej osoby. Kocham moją żonę, jesteśmy razem już niemal czterdzieści lat, podczas gdy wy z Robertem nie przeżyliście razem nawet dziesięciu lat, a wasze małżeństwo już zaczyna się rozpadać. To kto z nas dwojga wie, czym jest miłość, moja droga?

HELENE. Ja! Dlatego że kocham tego mężczyznę, a ty nie kochasz swojej żony, Donaldzie.

JOSEPH. A skąd ty to wiesz, Saro? Kocham Marthę.

HELENE. Martha powiedziała mi o tym. Opowiedziała mi, jak podczas waszej pierwszej nocy poślubnej wyznałeś, że nie kochasz jej i że ożeniłeś się z nią tylko dla pieniędzy jej ojca.

Pauza.

JOSEPH. Których, zresztą, w końcu nie dostaliśmy, bo jej ojciec, ten dziewięćdziesięcioletni worek z nawozem ogrodowym, wciąż jeszcze pali swoje śmierdzące cygara na werandzie swojej cudownej willi. I mam wrażenie, że on przeżyje nas wszystkich.

HELENE. Martha opowiedziała mi, że nawet nie chciałeś uprawiać z nią seksu w pierwszą noc poślubną, ponieważ nie mieliście prezerwatyw. I że kiedy ona płakała, to ty nawet nie próbowałeś jej uspokoić, a po prostu wyszedłeś do drugiego pokoju i tam spokojnie zasnąłeś. Nie myśl Donaldzie, że się skarżyła, po prostu czasem Martha czuje się niezwykle samotna i ma potrzebę, by opowiedzieć komuś o swoim ciężkim życiu.

JOSEPH. Och, ta Martha. Jak to się mówi, faktycznie, letnie osy kłają nas nawet w listopadzie.

Wchodzi Mark.

MARK. Rozmawiałem z Marcusem. Byłem u niego. Pojechałem po prostu do niego. Akurat skończyła się msza i Marcus wyszedł z kościoła. Bardzo poważnie porozmawialiśmy, patrząc sobie w oczy. I, co oczywiste, wszystkie moje wątpliwości się rozproszyły. W ten poniedziałek Marcus faktycznie był u nas. Był z Sarą. Nie musisz mi nic tłumaczyć, Donaldzie. Nie chcę

wiedzieć, czemu to zrobiłeś i czemu uczestniczyła w tym twoja żona Martha. Mimo wszystko kocham was. I powtarzam, że jeśli zechcesz, Donaldzie, to mogę ci załatwić wizytę u bardzo, bardzo dobrego psychoterapeuty.

Pauza.

MARK. Saro, proszę cię o wybaczenie, zbyt się uniosłem. Faktycznie, zachowałem się bardzo źle, wybacz mi.

HELENE. Nie ma sprawy, Robercie. Wszystko w porządku. Pocałuj mnie.

Mark całuje Helenę w policzek. Helene obejmuje głowę Marka rękoma i przyciska do siebie. Mark obejmuje Helenę za talię. Stoją w objęciach.

JOSEPH. To wprost zadziwiające, jak pogmatwane jest to nasze życie. Chwilę temu ta kobieta opowiadała mi o swoim kochanku, o tym, jak go kocha, o tym, że to prawdziwa miłość, a po kilku minutach rozptywa się ze szczęścia w objęciach swojego mężusia, który nawet nie podejrzewa, że został rogaczem.

Mark podchodzi do Josepha.

MARK. Coś ty powiedział, Donaldzie?

JOSEPH. O wszystko pytaj swoją żonę, Robercie. Mój Boże, wszystkie pytania kieruj do niej, a nie do mnie, przyjacielu.

MARK. Co on mówi, Saro?

HELENE. Nie wiem, co on mówi, Robercie. Przecież widzisz, że z naszym Donaldem nie jest najlepiej.

JOSEPH. Sama mi opowiadałaś o swoim kochanku. O tym, jak był u ciebie w ten poniedziałek.

HELENE. W ten poniedziałek był u mnie Marcus, Donaldzie, i według mnie, nasza rozmowa przestaje być już śmieszna.

MARK. Dla mnie osobiście ona nigdy nie była śmieszna. Donaldzie, przyjacielu, co się z tobą dzieje? Jak ty się czujesz, mój drogi?

JOSEPH. Czuję się coraz gorzej i gorzej. Jestem w całkowitej rozpacz. Jestem bardzo zmęczony całym tym otaczającym mnie światem. Jestem zmęczony pustynią, w której grzęźnie moja dusza. Żyję bez miłości, bez Boga, bez nadziei na zbawienie. I bez zrozumienia, Robercie. Bez jakiegokolwiek zrozumienia z czyjejkolwiek strony. Jestem samotny w samotnym świecie.

MARK. Donaldzie, mój drogi. Mój kochany Donaldzie.

Mark obejmuje Josepha, przytula go do siebie.

MARK. Nie jesteś samotny, przyjacielu. Przecież masz nas, przyjacielu. Jesteśmy twoimi wiernymi przyjaciółmi – ja, Sara, Martha i Marcus, wszyscy cię kochamy. Uwierz. Kochamy cię, nasz drogi Donaldzie. I pomożemy ci, wyleczymy cię, załatwimy najlepszych lekarzy, najlepszych psychoterapeutów, najlepszych psychiatrów.

Pauza.

JOSEPH. Robercie, twój brat Marcus w zeszły poniedziałek był u nas, u mnie i Marthy.

MARK. No, no, uspokój się, mój drogi, to wszystko minie, uwierz mi, minie.

JOSEPH. Ale posłuchaj, Saro, przecież sama mi powiedziałaś, że masz kochanka, zaufanie za zaufanie, Saro.

HELENE. Jestem z tobą, Donaldzie, z tobą. Zrobimy z Robertem wszystko co w naszej mocy, aby cię wyleczyć, tylko musisz nam zaufać i wszystko będzie dobrze. Zaufaj nam, Donaldzie, zaufanie za zaufanie, mój drogi.

JOSEPH. Wiem, kto wam może udowodnić! Pani Gertruda, nasza sąsiadka. Akurat w zeszły poniedziałek wpadła do Marthy po przepis na gulasz sojowy i nie tylko widziała Marcusa, ale nawet rozmawiała z nim o istocie spowiedzi w chrześcijaństwie. Zaraz do niej zadzwonię. Na pewno mam jej numer telefonu.

Joseph wyjmuje telefon i szuka w notesie numer telefonu pani Gertrudy.

MARK. Oj, oj, oj, Donald. Natychmiast przestań, słyszysz.

JOSEPH. Chyba nie będziesz podejrzewać pani Gertrudy o kłamstwo, prawda?

Joseph naciska klawisz „połączyć”.

MARK. Donaldzie, na Boga, przestań, po co niepokoić biedną kobietę.

JOSEPH. Ona nie jest biedna, Robercie. Halo, pani Gertruda? Dzień dobry! Mówi pani sąsiad Donald.

MARK. Boże, nie podejrzewałem, że to na tyle poważne, jeszcze dziś zadzwonię do znajomego profesora psychiatrii w Kopenhadze.

JOSEPH. Proszę wybaczyć, że dzwonię do pani w środku weekendu, ale jest tu razem ze mną mój stary przyjaciel, pan Robert Iahim, który chciałby zadać pani pewne pytanie. Nie, nie, on nie należy do naszej wspólnoty. Ale to mój najlepszy przyjaciel. Co, co? Nie, nie wiem, czemu nie należy do naszej wspólnoty. Tak, jest katolikiem. Tak, z takim nazwiskiem. No oczywiście, że chodzi do kościoła. Świetnie zna pani jego młodszego brata... ale lepiej, żeby porozmawiała pani z panem Iahimem bezpośrednio, przekazuję mu słuchawkę. Miłej niedzieli, pani Gertrudo.

Joseph podaje Markowi telefon.

MARK. Donald, nie będę z nią rozmawiać. Natychmiast ją przeproś i powiedz, że zadzwonimy do niej później.

JOSEPH. Robercie, ona czeka. Porozmawiaj z nią, to zagorzała katoliczka, przewodnicząca naszej wspólnoty katolickiej, ona powie ci samą prawdę, porozmawiaj z nią. Robercie, nie wypada, aby kobieta na ciebie czekała.

Mark bierze telefon.

MARK. Halo, dzień dobry pani Gertrudo. Nazywam się Robert Iahim, jak już wspomniał o tym mój przyjaciel Donald. Widzi pani... Co, co? Nie, nie należę do żadnej wspólnoty, po prostu bywam w kościele katolickim co niedziela. Co? Aha. No dobrze, zastanowię się nad pani propozycją. Widzi pani, mój rodzony brat... Co, co? Ach, pani mnie zna? Co, co? Zna pani mojego brata? No tak, nic dziwnego, on czasem odwiedza Marthę i Donalda. Co, co? Ach, rozmawiała pani z nim w zeszły poniedziałek? Co?! W jaki poniedziałek pani z nim rozmawiała, pani Gertrudo? Jest pani pewna? Jest pani pewna, że to było w zeszły poniedziałek? A jest pani pewna, że to był właśnie mój brat? O czym pani z nim rozmawiała?

Ach, o istocie spowiedzi, aha. Ile pani ma lat, pani Gertrudo? O, przepraszam! Tak mi się wyrwało. O, nie chciałem pytać o pani wiek, po prostu tak mi się wyrwało. Nie wiem, jak to się stało. Błagam o wybaczenie, pani Gertrudo, proszę, aby mnie pani dobrze zrozumiała, nie chciałem pytać panią o wiek, po prostu nie najlepiej dziś z moją głową, wie pani, trochę wypaliłem, ale nie papierosów, pani Gertrudo, a takich, wie pani, całkiem innych papierosów. Co, co? Nie rozumie pani, o czym mówię? No oczywiście, że pani nie rozumie, o czym ja mówię, przecież z pewnością pani nie pali „innych papierosów”. Co, co? Ach, pani w ogóle nie pani? I to się chwali, pani Gertrudo. Co? Po co dzwonię? Sam nie wiem, pani Gertrudo, w ostatnim czasie przestaję cokolwiek rozumieć. Wszystkiego dobrego!

Mark kończy połączenie i oddaje telefon Josephowi.

MARK. Naprawdę, nic nie rozumiem. Saro, możesz mi to wyjaśnić?

HELENE. Nie wiem, Robercie.

MARK. A ty Donaldzie, wiesz?

JOSEPH. Letnie osy kęsażą nas nawet w listopadzie, Robercie.

MARK. A może wy wszyscy mnie wkręcacie? Może wszyscy się zmówiliście: i Marcus, i Martha, i nawet pani Gertruda?

HELENE. Jaki drań z ciebie, Donaldzie.

JOSEPH. Saro, jestem po prostu zmęczony, i tyle.

Pauza.

MARK. No dlaczego życie to taki żałosny żart? Dlaczego ono nic nie jest warte? Dlaczego wszędzie wokół kłamstwo, obłuda i brud? Tyle brudu dokoła. Tyle brudu dokoła. Tyle brudu dokoła. Brudny, spotworniały świat. Po co to wszystko? Po co Bóg stworzył świat takim potwornie okrutnym? Po co posłał na świat swojego syna, żeby świat Go ukrzyżował? Posłał na świat swojego syna, żeby świat Go ukrzyżował, ale obawiam się, że światu to w żaden sposób nie pomogło. Wbrew naszym oczekiwaniom ta ofiara nie zbawiła świata.

HELENE. Co ty w ogóle mówisz, Robercie, opamiętaj się?!

MARK. Ofiara była daremna, świat jak dawniej tonie w kłamstwie i rozpuście, i z każdym dniem jest tylko gorzej i gorzej.

HELENE. Nie wolno wypowiadać takich słów, Robercie. Nie bierz na siebie takiego strasznego grzechu, jak bluźnierstwo.

JOSEPH. Mów, co ci przyjdzie do głowy, przyjacielu i nikogo się nie bój. Świat – to brudna kałuża, ściek, nie ma żadnego Boga i nie ma nas kto ukarać za te wszystkie koszmary, jakie tu wyprawiamy. Zresztą, uratować nas przed nami samymi też nie ma kto. Wszyscy jesteśmy skazani na porażkę.

MARK. Brud pod nogami, brud w duszy, brud w rodzinie, brud w kościele. Brud, brud, brud, wszędzie tylko jeden brud.

HELENE. Weź się w garść, Robercie, Marcusowi nie spodobałoby się to, co teraz mówisz.

MARK. Marcusowi?! A kto to taki, Marcus? Czy to przypadkiem nie ten człowiek, który jednego dnia dwukrotnie okłamał rodzzonego brata?

HELENE. Marcus cię nie okłamywał, Robercie. W zeszły poniedziałek on faktycznie był u mnie. Nie wolno słuchać Donalda, przecież widzisz, że nie jest sobą.

JOSEPH. Ale, Saro, Robert słucha nie mnie, tylko pani Gertrudy. Albo może chcesz powiedzieć, że ona również zwariowała, tak jak ja?

HELENE. Nie wiem, Donaldzie. Na razie nie mogę wytłumaczyć, jak ci się udaje to wszystko wykręcić. Nie wiem, czemu te dwie całkiem sympatyczne kobiety – twoja żona Martha i twoja sąsiadka pani Gertruda – czemu wsparły twoją chorą wyobraźnię, ale nie pozostawię tej sprawy i doprowadzę ją do końca. Uczynię to ze względu na rodzinę, na miłość, na wiarę. I ze względu na Świętą Ofiarę, która została poniesiona za nas wszystkich. Marcus w zeszły poniedziałek był u mnie, Robercie, ponieważ kochamy się z Marcusem. Od dwóch tygodni trwa romans. Nie znaleźliśmy w sobie siły, aby się przyznać, kilka razy próbowaliśmy się rozstać, żeby nie popełniać grzechu, ale nie byliśmy w stanie okiełznać naszych uczuć. My naprawdę się kochamy i uznaliśmy, że miłość odkupi nasz grzech. Przecież miłość może odkupić wszystko. Kochamy się, Robercie. Wiem, że zapewne niełatwo ci teraz tego słuchać. Ale prędzej czy później musiało się to stać. Nie usprawiedliwiam się w żaden sposób, ale

jedynym usprawiedliwieniem dla mnie i Marcusa niech zostanie nasze uczucie. Miłość usprawiedliwia wszystko, jeśli to miłość. A to jest miłość, Robercie. I wybacz mi, że dopiero teraz się o tym dowiadujesz, wybacz.

Pauza.

JOSEPH. Ale to przecież nie jest dowód na to, że w zeszły poniedziałek Marcus był u ciebie?

HELENE. O czym tu jeszcze dywagować, Donaldzie? Kiedy i tak wszystko jest jasne.

MARK. Ale to przecież niemożliwe, Saro?

JOSEPH. To jest całkiem możliwe, Robercie. Ale ja nadal pozostaję przy zdaniu, że Marcus był u mnie.

HELENE. W zeszły poniedziałek byłam z Marcusem, Robercie. Byłam z nim, Robercie, w naszym łóżku.

MARK. Ale to przecież niemożliwe, Saro?

JOSEPH. To byłoby całkiem możliwe, Robercie, w każdy dzień prócz zeszłego poniedziałku.

MARK. Saro?!

HELENE. Wybacz mi, Robercie.

MARK. Donald?!

JOSEPH. Wybacz, przyjacielu.

Mark zrozpaczony patrzy to na Josepha, to na Helenę, następnie gwałtownie się odwraca i bardzo szybko wychodzi.

Pauza.

JOSEPH. Nie rozumiem, Saro, jeśli Marcus jest twoim kochankiem, to kto w takim razie był u ciebie w zeszły poniedziałek?

HELENE. W zeszły poniedziałek był u mnie Marcus, Donaldzie.

JOSEPH. Ale przecież w zeszły poniedziałek Marcus był u mnie, Saro.

HELENE. Przecież bardzo dobrze wiesz, gdzie w zeszły poniedziałek był Marcus, Donaldzie.

JOSEPH. Był u mnie.

HELENE. Przecież bardzo dobrze wiesz, gdzie on był.

JOSEPH. Był u mnie.

Joseph i Helene patrzą sobie w oczy. Nie mniej niż minutę bardzo uważnie patrzą sobie w oczy.

JOSEPH. W co wierzysz, Saro?

HELENE. W zbawienie, Donaldzie.

JOSEPH. Kto cię zbawi, Saro?

HELENE. Bóg mnie zbawi, Donaldzie.

JOSEPH. Wierzysz w Boga?

HELENE. Tak.

JOSEPH. A kto mnie zbawi, Saro?

HELENE. Bóg, Donaldzie, jeśli Go o to poprosisz.

JOSEPH. Ale ja nie wierzę w Boga, Saro, co więc mam począć?

HELENE. Prosić Boga, żeby dał ci wiarę.

JOSEPH. Saro, o nic nie mogę poprosić Boga.

HELENE. Czemu, Donaldzie?

JOSEPH. Bo nie można prosić tego, w którego się nie wierzy.

HELENE. Czemu, Donaldzie?

JOSEPH. Co znaczy – czemu?

HELENE. Czemu nie wolno prosić tego, w kogo nie wierzysz? Przecież akurat prosisz Go o to, żeby On pomógł ci uwierzyć.

JOSEPH. Dobrze, a bez Boga mogę liczyć na zbawienie?

HELENE. A co ty, Donaldzie, nazywasz „zbawieniem”?

Pauza. Joseph zamyśla się.

JOSEPH. Kiedy przestanie lać deszcz.

HELENE. Co, przepraszam, nie zrozumiałam?

JOSEPH. Czy nie zauważyłaś, że już trzeci dzień nieustannie pada deszcz?

HELENE. Żartujesz, Donaldzie?

JOSEPH. Nie, Saro, wcale nie żartuję. Nie mogę dłużej znieść tego przeklętego deszczu. Wszystkich tych kropli, które spadają na ziemię. Miliony, miliony kropli spadają na ziemię, spadają na dachy naszych domów, spadają na nasze głowy, spadają na głowy naszych dzieci.

HELENE. No i co w tym takiego, Donaldzie?

JOSEPH. Ja ich po prostu wszystkich nienawidzę. Wszystkich tych kropli razem i każdej kropli z osobna. Nienawidzę tego lotu kropli z nieba i jej pluśnięcia o asfalt, albo o dachówkę na dachu mojego domu, albo co jeszcze gorzej, o metalowy parapet mojego okna. Kap, kap, kap.

Pauza.

JOSEPH. Kap, kap, kap.

HELENE. No w takim razie chyba faktycznie powinieneś się zgłosić do psychoterapeuty.

JOSEPH. Ale problem w tym, że ja nie wierzę w psychoterapeutę jeszcze mocniej, niż nie wierzę w Boga.

HELENE. A czy istnieje cokolwiek, w co naprawdę wierzysz, Donaldzie?

JOSEPH. Tak, Saro. Wierzę w to, że w zeszły poniedziałek Marcus był u mnie.

Wchodzi Mark.

MARK. Rozmawiałem z panią Gertrudą. A raczej, próbowałem porozmawiać z panią Gertrudą. Pojechałem do twojego domu, Donaldzie, żeby porozmawiać z twoją sąsiadką w cztery oczy. Ale okazało się, że nie ma u was żadnej sąsiadki pani Gertrudy. Na prawo od was mieszka pan Helmut, stary kawaler, na lewo młoda rodzina, a pani Gertrudy nie ma nie tylko na waszej ulicy, ale w ogóle na waszym osiedlu. Jak nie ma żadnej katolickiej wspólnoty, do której jakoby należysz, Donaldzie. Nie wiem, co to była za nieszczęsna kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon i jak ci się w ogóle udało zorganizować całe to przedstawienie, a najważniejsze – po co? W jakim celu – Donaldzie?

JOSEPH. Tak, najwyraźniej, letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie, Robercie.

MARK. Och tak.

HELENE. A przypadkiem nie wpadłeś na pomysł, żeby zajrzeć do Marthy?

MARK. Oczywiście, że wpadłem. Ale rzecz w tym, że Martha mi nie otworzyła. Stałem pod bramą i dzwoniłem do niej, ale ona mi nie otworzyła. Chociaż była w domu, ponieważ samochód stał na podwórku i dym leciał z komina. Jestem w stu procentach przekonany, że była w domu. No oczywiście, w jakimś sensie ją rozumiem, przecież niełatwo jej spojrzeć mi w twarz. Ale nie mam do niej żalu, wiem, że to Donald kazał jej kłamać. Przecież wiemy, jak ona boi się męża.

HELENE. A to prawda, Donaldzie, że kiedyś przez kilka godzin z rzędu zmuszałeś Marthę aby przestała cię kochać?

MARK. Donaldzie, dlaczego?!

HELENE. Martha powiedziała mi, że on żądał, aby przestała go kochać, chciał, aby Martha poczuła do niego obrzydzenie i wyznała mu, że więcej go nie kocha. W taki sposób chciał jej udowodnić, że miłość – to coś, co przemija. Ale skończyło się na tym, że biedna Martha straciła przytomność i w końcu nic nie wyznała.

MARK. Jaki koszmar! Biedna Martha.

JOSEPH. Och, ta Martha.

MARK. Wybacz, Donaldzie, jednak będę zmuszony poinformować o tym wszystkim miejscowy szpital psychiatryczny. Wybacz, ale twoje zachowanie staje się niebezpieczne dla otoczenia.

Pauza.

JOSEPH. Letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie.

MARK. Tak, letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie.

HELENE. Och tak.

Pauza.

MARK. Pewnego razu, kiedy byłem małym chłopcem, mój ojciec zrobił mi z kory drzewa mały stateczek i umocował na nim papierowy żagiel. To było takie piękne, byłem wprost szczęśliwy. Pobiegłem z tym stateczkiem nad rzekę. I zamierając ze szczęścia, opuściłem mój stateczek na wodę. Do tej pory pamiętam każdą sekundę tamtego dnia. Pamiętam, jak biegłem szczęśliwy ścieżką w lesie, jak chciałem byle szybciej znaleźć się nad rzeką i jak znalazłem się nad rzeką. I jak drżącymi ze szczęścia rękami puszczałem stateczek na wodzie.

Pauza.

HELENE. No i co było dalej, Robercie? Co się stało z twoim stateczkiem?

MARK. Odpłynął.

HELENE. Robercie?

MARK (*krzyczy na Sarę*). No, co patrzysz na mnie jak na wariata?! Odpłynął, rozumiesz, odpłynął! To co mamy najcenniejszego, to, co mamy najpiękniejszego, wszystko to od nas odchodzi. Wszystko to przecieka nam przez palce. Stałem tam, nad rzeką i błagałem go, żeby wrócił, ale on odpływał coraz dalej i dalej z nurtem rzeki. A ja stałem i płakałem. I prosiłem twojego Boga, Saro, aby oddał mi ten stateczek. Ale rzeka zabrała go na zawsze. Bóg nie był w stanie odwrócić nurtu rzeki. A jeśli Bóg nie jest w stanie odwrócić nurtu rzeki, to po co mi taki Bóg? Chciałem, żeby ten statek pływał po wodzie, ale nie chciałem, żeby odpłynął ode mnie na zawsze. I wtedy właśnie zrozumiałem, że wszystko, co pływa, wszystko prędzej czy później odpłynie od nas. I wszystko, co lata, wszystko odleci od nas. I wszyscy, którzy umieją

chodzić, prędzej czy później odejdą od nas. I wszyscy, którzy nas kochają, prędzej czy później przestaną nas kochać. A my, my zawsze pozostaniemy na brzegu. Zawsze patrzymy na to, jak nasza miłość i nasze szczęście odpływa od nas z nurtem.

Pauza.

MARK. Nie byłem u pani Gertrudy, Saro. Nigdzie nie jeździłem. Po prostu siedziałem i siedziałem na ławce, i starałem się o niczym nie myśleć. Wybacz, Donaldzie, wierzę, że Marcus w zeszły poniedziałek był u ciebie. Po prostu boję się spojrzeć prawdzie w oczy. Przeraza mnie życie. I to tyle. Mój psychoterapeuta mi nie pomaga. Jestem zmęczony nie mniej niż ty, Donaldzie. I nadal tak samo, jak w dzieciństwie, stoję na brzegu i patrzę, jak mój stateczek odpływa ode mnie coraz dalej i dalej. I wiem, że Bóg nie może zatrzymać nurtu rzeki. Wybacz mi, Donaldzie.

Pauza.

HELENE. Robercie, mijają już trzy lata, jak spotykam się z innym mężczyzną. Ale to oczywiście nie Marcus, Robercie. Nie miałam w sobie siły, by ci się przyznać.

MARK. Saro, nawet przez chwilę nie myślałem, że to Marcus. I jeśli mam być szczery, to w ogóle o tym nie myślałem.

HELENE. A o czym myślałeś, Robercie?

MARK. Nie wiem. Z pewnością o tym, że letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie.

JOSEPH. A co to oznacza, Robercie?

MARK. Nie wiem.

HELENE. Wybacz mi, czuję się winna.

MARK. Kochasz tego człowieka, Saro?

HELENE. Nie wiem, Robercie. Zdaje się, że w ogóle nie wiem, co oznacza to słowo.

MARK. Dlaczego w takim razie milczałaś całe trzy lata?

HELENE. Dlatego, że cały czas czekałam, kiedy to się skończy. Po każdym naszym spotkaniu myślałam, że było ostatnie. Kiedy on odchodził ode mnie, byłam przekonana, że więcej nie zadzwoni. Ale właśnie wczoraj odbyliśmy poważną rozmowę i postanowiliśmy skończyć naszą relację. To nasza ostateczna decyzja. Wszystko dokładnie przemyślałam i to już nie wróci, zresztą on również nie wróci, wybrał na korzyść swojej rodziny, przecież jest żonaty i ma dzieci. No i postanowił wrócić do rodziny. Wszystko skończone. Nie wiem, czy dasz radę mi wybaczyć, czy nie? Z pewnością nie i nasze małżeństwo się rozpadnie. Nie mniej jednak, proszę cię, abyś mi wszystko wybaczył i uwierz, że zawsze byłam bardzo delikatna wobec ciebie, zawsze cię szanowałam, jako mężczyznę. Czy cię kochałam? W jakimś sensie tak. Czy kochałam cię tak, jak żona powinna kochać męża? Zapewne nie, Robercie. A zresztą, nie wiem. Teraz już nic nie wiem.

Pauza.

HELENE. Ale przysięgam, Robercie, w zeszły poniedziałek w naszym domu był nie ten mężczyzna, tylko Marcus. Zaprosiłam Marcusa, ponieważ chciałam opowiedzieć mu o mojej relacji z tym moim mężczyzną. Musiałam to komuś opowiedzieć, potrzebowałam rady, jak mam postąpić. I przegadaliśmy z Marcusem do późnej nocy. I wychodząc już, poradził mi, żebym się do wszystkiego tobie, Robercie, przyznała, ponieważ nie wolno żyć w kłamstwie. Marcus powiedział, że nawet jeśli nie będziesz w stanie mi wybaczyć, to przynajmniej, zrozumiesz mnie. Nie wolno żyć w kłamstwie. Wybacz mi, Robercie, przez pewien czas żyłam w kłamstwie, oszukiwałam cię, bardzo okrutnie cię potraktowałam. Ale teraz wiesz już wszystko, Robercie. Teraz znasz całą prawdę o wszystkim. I o tym, że miałam mężczyznę, i o tym, że się z nim rozstałam, i o tym, dlaczego Marcus przychodził do mnie w zeszły poniedziałek.

JOSEPH. No a co z panią Gertrudą, która w zeszły poniedziałek rozmawiała z Marcusem o istocie spowiedzi? I co z moją żoną Marthą, która też wszystko to potwierdza?

HELENE. Donald wszystko jakoś tak sprytnie uknuł, Robercie. Jestem przekonana, że namówił te biedne kobiety, a może nawet nastraszył, po nim można się wszystkiego spodziewać. W zeszły poniedziałek Marcus był u nas, słowo honoru, Robercie, przyznałam cię się już do wszystkiego, zresztą sam pomyśl, no jaki sens miałoby to kłamstwo?

Pauza.

MARK. Tak, faktycznie, nie ma żadnego sensu.

JOSEPH. No a jaki sens miałyby moje kłamstwo, Robercie?

MARK. Też żadnego.

Pauza.

MARK. W niczym nie ma żadnego sensu. Cały ten świat to zwykły bezsens. I tyle.

Pauza.

HELENE. Kobieta powinna ulegać mężczyźnie, tylko w tym ma źródło jej zbawienie, tylko w tym jej sens. Nie powinna mieć wolności wyboru. Dawniej, na przykład, kobietę wydawano za mąż wbrew jej woli, po czym całe swoje życie służyła swojemu mężowi. Zresztą nawet do dziś w niektórych krajach uchował się ten porządek. Ale w naszej cywilizacji już dawno wszystko jest inaczej. My kobiety, mamy jakby wybór, jesteśmy jakby wolne. Ale ta wolność, którą nam dano, w rzeczywistości nie jest prawdziwą wolnością, ponieważ istota kobiety, jej sens polega na tym, aby należeć, na tym, aby oddać swoją wolność mężczyźnie. Czy chcemy tego, czy nie, czy zgadzamy się z tym, czy nie, ale sama nasza kobieca natura skonstruowana jest tak, żeby oddawać się. Kobieta oddaje, a mężczyzna bierze. Bóg stworzył kobietę z żebrą mężczyzny i nakazał jej posłuszeństwo wobec niego i uwielbienie go, jako swego pana. I być może mogłabym się z tym zgodzić, ale cały mój problem polega na tym, że chciałabym należeć i służyć mężczyźnie, który byłby tego godzien, aby mi rozkazywać. I na tym polega problem całego naszego współczesnego społeczeństwa, i na tym polega problem całego tego tak zwanego „społeczeństwa demokratycznego”. Zdecydowaliśmy, że możemy wybierać, co jest dla nas lepsze. I jak tylko postanowiliśmy, że możemy wybierać, to od tego właśnie momentu nie możemy wybierać. Sami wybieramy, co jest dla nas lepsze – w tym tkwi cały nasz problem. Zresztą o tym, co jest dla nas lepsze powinien decydować Bóg. I właśnie na tym polega cały nasz problem, rozumiecie? Dlatego, jak tylko kobieta postanowiła, że sama będzie wybierać dla siebie mężczyznę, to od tego dokładnie momentu zaczęła szukać sobie tego, który by jej odpowiadał, zaczęła szukać tego, komu mogłaby służyć. Ale nie ma takich mężczyzn na świecie. Takich mężczyzn na świecie nie ma. Bardzo ciężko znaleźć takiego mężczyznę, któremu byłabym w stanie służyć. Bardzo trudno w naszych czasach znaleźć

takiego mężczyznę, przed którym szczerze mogłabym skłonić głowę. Osobiście szukałam bardzo długo i do tej pory nie znalazłam. Nie znalazłam ani jednego mężczyzny, któremu mogłabym oddać się całą swoją istotą i do którego mogłabym należeć. I w tym cały problem. Przecież dawniej mężczyźni na pewno byli jeszcze gorsi, niż teraz, ale kobiety wtedy nie wybierały, a kochały tego, kogo zesłał im Bóg. A dziś sama chcę wybierać, i dlatego nie mogę znaleźć sobie swojego pana. Nie mogę, dlatego że wiem, jakim powinien być. I to mi właśnie przeszkadza. Wiem, jakim on powinien być. To samo z Bogiem. Wiem, jakim On powinien być, dlatego też nie mogę znaleźć sobie odpowiedniego Boga, któremu będę służyć. Dlatego, że sama go sobie wybieram. A co to za sługa, który sam sobie wybiera swojego pana? No i dlatego kobiety nie znajdą szczęścia na tym świecie. Dlatego, że teraz postanowiłyśmy same szukać sobie mężczyzn. Nie Bóg nam daje tego, którego jesteśmy godne, tylko same szukamy tego, kto godzien jest nas. A gdyby, jak dawniej, nie pytano nas, gdyby oddawano nas wbrew naszej woli, gdybyśmy wielbiły i służyły jakiemukolwiek mężczyźnie, który został naszym mężem, gdybyśmy w obliczu naszego męża widziały Pana Boga naszego, widziały praobraz Stwórcy naszego, to wówczas i szczęście kobiece byłoby dla nas dostępne i byłybyśmy my, kobiety, kompletne, mądre i przyzwoite, jak dawniej. No i tak.

Pauza.

JOSEPH. Ty tak na serio?

HELENE. Absolutnie.

MARK. A czy przyczyna nie tkwi w tym, że świat to po prostu monstrum, pożerające swoje własne dzieci?

HELENE. Przyczyna tkwi w tym, że w naszym życiu nie ma nikogo prócz nas samych, żyjemy sami dla siebie, sami ze sobą odosobnieni. Sami. W tym tkwi przyczyna.

JOSEPH. Ty na serio tak myślisz?

HELENE. Absolutnie.

MARK. Ale przecież jesteśmy mądrzy i nic na to nie poradzimy. Wiem o tym świecie coś takiego, co przeszkadza mi uwierzyć i zgodzić się z tym, co tu przed chwilą powiedziałaś. Dlatego też jeśli już mówić o głównym problemie, to on polega właśnie na tym, że jesteśmy

mądrzy. Nie wszyscy, ale wielu z nas. A ten, kto jest mądry, ten jednocześnie jest nieszczęśliwy. Ale przecież nie jestem winien temu, że jestem mądry.

HELENE. A kto jest temu winien?

MARK. No, skoro już tak daleko zaszliśmy, to wy kobiety. Ewa jest temu winna, ta, która namówiła Adama, by zjadł jabłko poznania. Myśmy zjedli to jabłko. I teraz jesteśmy mądrzy. I wiemy, że to wszystko, o czym tutaj mówiłaś, to w rzeczy samej jest nie całkiem tak. Albo całkiem nie tak. Dlatego cierpimy, dlatego że wszystko wiemy, a to, czego nie wiemy, tego się domyślamy. No i tyle.

JOSEPH. No a czyżby nie było możliwości, abyśmy znowu w jakiś sposób zgłupieli?

MARK. Myślę, że nie, ponieważ nie mogę nie wiedzieć tego, co już wiem.

HELENE. No i cóż ty takiego wiesz?

MARK. Wiem wszystko. Na tym polega mój główny problem – problem polega na tym, że wiem wszystko. Wiem wszystko i dlatego wiedza jest dla mnie zamknięta, nie mogę niczego się dowiedzieć, ponieważ i tak już wiem wszystko. I w tym, tak myślę, tkwi przyczyna tej katastrofy, która dosięgła świat. My wiemy wszystko.

HELENE. I ty też wszystko wiesz, Donaldzie?

JOSEPH. Niestety, tak.

HELENE. Czyli, że wiesz, gdzie w zeszłym tygodniu był Marcus?

JOSEPH. No oczywiście, że wiem. W zeszły poniedziałek był u mnie.

HELENE. Ale to przecież nie tak, Donaldzie. I wiesz, że to nie tak. I wiesz, że w zeszły poniedziałek Marcus był u mnie.

JOSEPH. Marcus był u mnie, Robercie, uwierz mi.

HELENE. On był w naszym domu, kochanie, tak więc uwierz mi.

Pauza.

JOSEPH. Już lepiej uwierz mi.

HELENE. Nie, już lepiej uwierz mi, mój kochany.

MARK. No dlaczego ten świat to takie monstrum? Monstrum pożerające własne dzieci? Dlaczego ten straszny świat jest taki krwiożerczy, dlaczego odgryza głowy swoim własnym dzieciom? Co myśmy takiego zrobili, w czym zawinili? Za co nas to wszystko spotyka? Za co to? Za co?

JOSEPH. A czyżbyś ty, Robercie, nie głosował na obecnego prezydenta? Oczywiście, że głosowałeś. A czyżby twój obecny prezydent nie wyraził poparcia dla bombardowania Iraku, czyżby nie popierał prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki? Tego, który nakazał swoim lotnikom zadawać bombowe ciosy miastom z ludnością cywilną Iraku, zresztą nie tylko to? A czy od tych bomb nie zginęły czyjeś dzieci? A czy matki tych dzieci, wybiegając na ulice z martwymi dziećmi na rękach nie krzyczały „Za co nas to wszystko spotyka? W czym zawiniłyśmy?”, czyż one nie mają ten świat za monstrum, które odgryzło głowy ich dzieci, Robercie? Kto jest temu winien? Winni są temu: lotnicy, którzy zrzucili te bomby, prezydent USA, który dał rozkaz, twój prezydent, który poparł te bombardowania i ty, który głosowałeś na swojego prezydenta.

MARK. I dlatego moja żona zdradza mnie z innym mężczyzną w moim własnym łóżku? Co, to jest kara boska za to, że poszedłem na wybory?

HELENE. Nigdy nie spałam z tym mężczyzną w naszym łóżku, Robercie, zawsze spotykałam się z tym mężczyzną w hotelu.

MARK. Dobrze, w takim razie zadam to pytanie inaczej: czy jest cokolwiek świętego na tym świecie? Czy jest coś świętego na tym świecie, czy nie?

Pauza.

MARK. Donald?

JOSEPH. Myślę, że nie ma nic świętego, przyjacielu.

MARK. A ty, Saro, jak myślisz?

JOSEPH. Zaraz powie – Bóg.

Pauza. Helene zamyka oczy.

MARK. Saro?

Helene otwiera oczy i patrzy na Marka.

HELENE. Żeby ten deszcz przestał lać.

MARK. Ty to mówisz na serio, Saro?

HELENE. No oczywiście, że bardzo serio, Robercie.

MARK. Czyli, że główną przyczynę tragedii naszego życia widzisz w tym deszczu, który leje już trzeci dzień i w żaden sposób nie może przestać?

HELENE. Tak, myślę, że w tym właśnie tkwi problem, Robercie. I Donald też tak myśli, sam mi niedawno o tym powiedział.

JOSEPH. Widzę przyczynę właśnie w tym deszczu, Robercie. Deszcz leje już trzy dni z rzędu i nie przestaje ani na chwilę. Te krople! One cały czas spadają na dach i na parapet mojego okna, i z tym nie można się pogodzić, tego nie da się zaakceptować, Robercie. Kap, kap, kap.

MARK. Czyli, wy to mówicie na serio? Czyli, nie ja jeden tak myślę?!

HELENE. Co, co? Ty też tak myślisz, Robercie?

MARK. No oczywiście. Po prostu bałem się przyznać do tego nie tylko wam, ale nawet samemu sobie. Kiedy trzy dni temu zaczął lać deszcz, pomyślałem, że to pewnie nie na długo, przecież w końcu mamy koniec listopada i czas już, aby w naszej północnej krainie spadł pierwszy śnieg. Ale kiedy obudziłem się dzisiaj rano i zobaczyłem, że nadal leje jak z cebra, poczułem, że coś się we mnie złamało, coś pękło we mnie gdzieś bardzo, bardzo głęboko, w mojej głębi, coś się tam oderwało, albo raczej rozbiło na kawałki z powodu tego deszczu. Tam w środku mnie dziś zaszło coś nieodwracalnego, jakby tam w środku mnie spadła z szafy bardzo droga waza i rozbiła się w drobny mak. Coś tam pękło we mnie z powodu tego nieustannego deszczu, z powodu tych wszystkich kropli, które, jak sprawiedliwie zauważył Donald, dzwonią i dzwonią o mój parapet. Poczułem, jak setki drobnych odprysków rozleciało się po całej mojej duszy, po całym moim sercu, ja sam dosłownie pękłem i cały się wykoślawiłem. I wówczas pomyślałem, że zapewne wszystkiemu temu, co się ze mną dzieje, winien jest ten przekłety deszcz, że zapewne z powodu tego deszczu całe moje życie

rozleciało się na różne strony, ale potem pomyślałem, że raczej to wątpliwe, aby z powodu zwykłego deszczu całe życie rozłupało się na kawałki, wątpliwe by tak się mogło stać, z pewnością ja tu czegoś do końca nie rozumiem? Zapewne czegoś nie rozumiem w tym życiu? I wówczas uznałem, że widocznie coś zupełnie innego jest tego źródłem, zapewne wszystko to ma zdecydowanie głębsze przyczyny, niż ten deszcz? I zacząłem szukać tych przyczyn. Ale nie dałem rady ich odnaleźć. Przyczyny mojej tragedii okazały się ukryte przede mną. Nie mogłem ich dostrzec. Przyczyny mojej tragedii w końcu pozostały dla mnie nieznanne.

JOSEPH. To ten przeklęty deszcz, Robercie.

MARK. Tak, teraz zrozumiałem to ostatecznie, Donaldzie.

JOSEPH. No proszę, bardzo się cieszę, że to rozumiałeś, mój przyjacielu.

MARK. Tak, teraz to zrozumiałem na sto procent. I wszystko to dzięki Sarze.

HELENE. To wszystko dzięki Donaldowi, Robercie. On pierwszy zaczął otwarcie o tym mówić.

MARK. Dziękuję, Donaldzie.

JOSEPH. Ależ, dajcie spokój! Nie warto o tym mówić. Wszyscy w głębi duszy wiedzieliśmy, że tak jest.

HELENE. Co do mnie, to jeszcze trzy dni temu, kiedy tylko z nieba zaczęły spadać pierwsze krople, pomyślałam: zdaje się, że w moim życiu nastąpi teraz nie najłatwiejszy okres, i – tak też się stało.

JOSEPH. Dobrze, że jesteśmy przyjaciółmi i możemy się wspierać w tej trudnej sytuacji.

MARK. Tak, tak, to tak ważne być razem, dyskutować, nie zgadzać się, sprzeczać, ale mimo wszystko kochać się. Tak was kocham, moi przyjaciele. Saro! Donaldzie!

JOSEPH. Robercie, Saro.

Mark, Helene i Joseph obejmują się. Stoją w objęciach, jak trójka szkolnych przyjaciół.

HELENE. Boże, tak dobrze mieć przyjaciół, którzy są starsi i mądrzejsi ode mnie, od których można się czegoś nauczyć, dzięki którym można zdobyć życiowe doświadczenie, od których można się nauczyć mądrości. Robercie, Donaldzie, tak was kocham.

JOSEPH. Coś we mnie teraz świergoli, jak wróbel, coś tam wewnątrz mnie teraz świergoli i szczebioce jak ptaszek, i próbuje się wyrwać na zewnątrz, jakiś ptak lata we mnie tam i z powrotem, w moim sercu, miota się jak wróbel i nie może wyrwać się na zewnątrz, co takiego czuję wewnątrz siebie, to takie piękne i takie niespokojne, co to?!

MARK. Oj, i we mnie wewnątrz coś tam skrobie, jakby kot przedostał się do mojego brzucha i tam drapał swoimi łapami, co to za swędzenie tam we mnie w środku, co to za napad szczyścia tam w moim środku, co?! Co?!

HELENE. Jakby w środku mnie ktoś mył podłogę i łaskotał mnie swoją ścierką, a do tego jeszcze śpiewał.

MARK. O! No coś ty! Jeszcze jak śpiewa! Kto to nagle zaczął śpiewać we mnie w środku?

HELENE. A jeszcze do tego tańczy we mnie w środku całe tańce!

JOSEPH. Ptaki, całe stada ptaków latają we mnie w środku i łaskoczą mnie swoimi skrzydłami. Oj, ech wy, ptaki! Ej, natychmiast przestańcie mnie łaskotać, oj, ja was zaraz, uch! Ja wam! Uch, ja was! Och, ptaki! Och!

MARK. Śpiewają tam w środku, we mnie, że serce moje tańczy i zaraz wyskoczy na zewnątrz. Spokojnie, moje serce, spokojnie, to tylko żart, to tylko, uch, żart, to żart, uch, uch!

HELENE. Oj, nie trzeba mnie tak łaskotać. Aj!

MARK. Nic nie mogę poradzić, moje ręce same się wyciągają do twoich boków, aby je podrapać.

HELENE. Oj, co ty wyprawiasz, strasznie mnie łaskocze, przestań. Aj! Aj! Aj!

JOSEPH. Mnie też połaskocz, mnie też, proszę.

MARK. No, to uważaj.

JOSEPH. Aj, jak łaskocze, oj! Przestań, proszę cię, przesta-a-a-a-ń! Aj!

MARK. Przecież sam proszę, przyjacielu, żeby cię połaskotać?!

JOSEPH. Ale to ja, wiesz, mówię „przestań”, bo tak wypada, a w rzeczy samej, proszę, już, uzgodnij mnie przyjacielu, z całej siły.

MARK. To letnie osy kąsają was w listopadzie.

HELENE. Aj! Aj ja jaj!

JOSEPH. Letnie osy, aj! Aj-ja-jaj! No, to teraz i ty uważaj, przyjacielu. Letnie osy lecą do ciebie.

MARK. Oho! Aj-ja-jaj! Łaskocze!

HELENE. A teraz też moje letnie osy przyleciały mu z pomocą!

MARK. Oj! Jak łaskocze! Oj, oj, oj! Przestańcie, was jest dwoje, to nieuczciwe!

JOSEPH. Letnie osy kąsają nas nawet w listopadzie. Żż, żż, żż.

MARK. Ach tak! No to uważajcie oboje. Na was też napadają święte letnie osy, strzeżcie się.

HELENE. Oj, jak one boleśnie szczypią!

MARK. Bo to nie są zwykłe pszczoły, a święte letnie pszczoły! Oto co zaprawdę jest świętego na tym świecie – święte letnie pszczoły. Które kąsają nawet w listopadzie!

JOSEPH. Oj! Oj, faktycznie bardzo boli! Ach tak, no w takim razie święte letnie pszczoły lecą na ciebie! Wspomagaj swoimi osami, razem polecimy na niego!

MARK. Uf, jak boli!

JOSEPH. A co byś chciał, święte pszczoły?!!

MARK. Myślicie, że się wystraszę. No, uważajcie na siebie.

HELENE. Aj-ja-jaj! Aj!

JOSEPH. Oj, jo-jo-joj!

MARK. Aj! Aj! Aj!

Mark, Helene i Joseph łaskoczą się wzajemnie i śmieją się.

KURTYNA